



BARBARA
CIWONIUK

TEN
GRUBY

Barbara Ciwoniuk

Ten gruby (fragment)

Matka od trzech dni nie pokazuje się w moim pokoju, a do kontaktów ze mną oddelegowała Irmę. Odetchnąłem z ulgą, kiedy na drugi dzień po awanturze to nie ona, lecz siostra przyniosła mi śniadanie. Irma jest najstarsza spośród dziewczyn. Rok temu zdała maturę, ale wcale nie spieszy się jej na studia. Gdy ją ktoś o to pyta, mówi, że wciąż zastanawia się nad wyborem kierunku, a na razie znalazła sobie pracę w butik i tak jest do dzisiaj.

– Zjedz coś. – Irma ostrożnie stawia tacę na brzegu szafki i przygląda mi się ciekawie. Czujnie, jakby sprawdzała, czy przez tę noc coś się zmieniło, czy już wymiękam. – Specjalnie dla ciebie zesłałam do sklepu i to kupiłam. Wszystko *light!*

– Dzięki. – Rzucam okiem na cienkie, kolorowe kanapki i ściągam z jednej plasterki rzodkiewki.

Miło, że Irma to mówi, choć wiem, że każdego ranka przed pójściem do pracy schodzi do sklepu po coś świeżego i lekkiego dla siebie. Odkąd zarabia, zaczęła się przesadnie stroić i dbać o figurę, czego zazdroszą jej młodsze siostry, a już najbardziej Natalia.

– Wiesz, że zawsze trzymam twoją stronę – zapewnia mnie nieszczerze.

– Tak? – mruczę ironicznie.

No nie... już dawno nie jestem tym smarkaczem, którego łatwo jej było podejść. Domyślam się, że codziennie ocenia mnie zgodnie z przykazaniami matki i zaraz znowu zada mi wszystkie jej pytania.

– A nie?

– Nie.

Irma mruży jaskrawo pomalowane oczy. Z zielonymi powiekami i w cętkowanej bluzce wygląda jak wielka, cwana jaszczurka.

– Długo zamierzasz to ciągnąć?

– Co?

– Ten bunt... – Chwilę zastanawia się, czy mojego zachowania nie nazwać inaczej. – Teraz, kiedy już się uspokoiłeś, może wizyta u psychoterapeuty nie będzie konieczna?

To znaczy, że po trzech dniach matka proponuje mi rozejm. Musi być pewna, że szybko mnie ugłaszczę. Tylko ją przeproszę i będzie po sprawie, wszystko wróci do normy.

– Przeprosisz ją... – Irma bezbłędnie odgaduje moje myśli.

– Nie mam za co. To ona wpadła w furję. Ja starałem się zachować spokój.

– Byłeś opanowany, kiedy jej groziłeś? – kpi Irma.

– Tak! – Wytrzymuję jej wzrok. – Mówiłem do matki dokładnie tak jak teraz do ciebie, ale ona zrobiła z tego aferę. Lubi, kiedy jej się tylko przytakuje.

– Skoro o tym wiesz, to po co z nią dyskutujesz?

– Bo miałem już dość jej ostrzeżeń! I gróźb, że na pewno wrócę do tej budy, bo jest tam tak wspaniale... jakby ona coś o tym wiedziała!

– Z mamą da się załatwić prawie wszystko, ale trzeba z nią umiejętnie postępować... spokojnie, najpierw tylko jej przytakiwać, a potem powoli...

– Nie umiem jej rozmiękczać jak wy! Nie jestem babą i tu nie chodziło o kupno jakiejś głupiej kiecki! Gdy zaczęła mnie pouczać... gadać, w jaki sposób mam się zachowywać, kiedy tam wrócę, to nie wytrzymałem i powiedziałem jej, że prędzej wyskoczę przez okno! Wiesz, że matka prawie... kazała mi się płaszczyć przed tymi, którzy mnie pobili?! Jeszcze moment i radziłyby mi, żeby ich przeproszać!

– Jak ty się o niej wyrażasz?!

– Tak jak wy! Za jej plecami ciągle mówicie o niej „matka”, a Natalia jeszcze gorzej!

– Nie ciągle, tylko czasem... kiedy się z nią pokłócimy i mamy trochę racji! – Irma patrzy na mnie zaskoczona. – Ale ty?...

– Co? Ja mam do końca życia mówić do niej „mamusiu”? I żreć wszystko, co mi tu przynosi, bo jak nie, to będzie jej bardzo przykro i się na mnie pogniewa?! Nie będzie miała komu wciskać tego, co ugotuje?!

– Zauważ, gnojku, że od paru dni to ja ci usługuję, ale jeśli sobie tego nie życzysz... – Irma podnosi się z kanapy i patrzy na mnie z góry. – Ona nie śpi po nocach, tak się martwi o ciebie, a ty!... Ale z ciebie niewdzięcznik! Myślisz, że ona chce tak harować w kuchni? Pichcić dla ciebie te klopsiki, zraziki, rosółki i inne pierdołki?!

– A musi?

– Może nie prosisz jej o to? Ciągłe słyszeć te twoje: „Mamusiu, co będzie jutro na obiad?”, „Mamo, może upieczesz babkę ziemniaczaną? Tylko daj dużo skwarek!”, „A kiedy będzie gulasz?”, „Mamusiu, zjadłbym coś słodkiego!”, „Mamo, mam ochotę na kurczaka!”, „Na kartacze!”, „Na pizzę!”.

Patrzę z pogardą, jak mnie przedrzeźnia, wykrzywając mocno upudrowaną twarz. Z dołu jej szyja wydaje się jeszcze dłuższa – teraz Irma wygląda jak prawdziwa, wredna jaszczurka.

– Jeśli chcesz wiedzieć, to od dwóch lat o nic jej nie proszę, ale ani ona, ani wy tego nie zauważacie! Może według was zatrzymałem się w rozwoju?

– Od dwóch lat? – Irma uśmiecha się z wyższością.

– Od połowy piątej klasy – precyzuję z zaciśniętym gardłem, bo po raz pierwszy zdradzam komuś mój sekret. Może i dobrze, że akurat jej, Irmie. Mojej dorosłej siostrze, która od dawna już się mną nie przejmuje, bo pochłaniają ją tylko własne sprawy, własny wygląd.

– Dlaczego od piątej klasy?

– Bo wtedy jeden z tych, co mnie napadli, powiedział, że tłuścioch jest słaby... że przegrywa nawet z kotлетem na talerzu!

– Tak powiedział?

Może jednak jeszcze trochę ją obchodzę, bo twarz Irmy zaczyna płonąć oburzeniem. Zawsze gorszyły ją przezwiska, jakimi obrzucano mnie na podwórku. Zdarzało się, że jakieś kobiety przychodziły do nas na skargę, bo Irma sprząła ich dzieci za to, jak mnie wyzywały.

– I ty... ty w to uwierzyłeś?

– Zrozumiałem, że miał rację – wyznaję szczerze.

– To nieprawda!

– Prawda! Od tamtego czasu staram się jeść dużo mniej...

– Ale...

– Przestań! Mam uwierzyć matce, że taka jest moja uroda? – przerywam jej z żalem. – Że to się nigdy nie zmieni, bo w dzieciństwie dużo chorowałem? Albo że to geny odziedziczone po niej i jakiejś tam babce? Sama widzisz, ile ona ma tłumaczeń i teorii na ten temat! Dwa lata temu obcy człowiek walnął mi w oczy prawdę i próbuję to zmienić, ale przy niej to jest niemożliwe.

– Nie mogłeś nam o tym powiedzieć?

– Jak? Przecież ja dla was nie istnieję. Niedawno... akurat miałaś wolne, gdy wróciłem ze szkoły z kanapką! Pamiętasz, co ona wtedy wygadywała? Jeszcze trochę i byłbym gotów wziąć tę kanapkę i siłą wcisnąć sobie do ust, byle się zamknęła! Ale ty nie zwróciłaś na to uwagi. Chwilę postąłaś i bez słowa wyszłaś z kuchni! Dla was to wygodne, że tylko ja jestem ofiarą, jej workiem do napychania. Ty i Anita raz czy dwa zrobiłyście jej porządną awanturę i już mogłyście się odchudzać, a ja... Mnie od małego nie chwali za nic innego, tylko za pusty talerz. Nie zauważyłaś? Tak jest do dzisiaj. Muszę zmiatać ze stołu wszystko, co mi poda, bo jak nie, to zaraz się obraża albo mnie szantażuje.

Irma przysiada na brzegu kanapy i gapi się na mnie z niedowierzaniem. Jest zdziwiona, że umiem nie tylko zjeść? Że czuję i myślę? W sumie pierwszy raz od bardzo dawna

rozmawiam z nią w ten sposób... tak normalnie. Zwykle odzywamy się do siebie krótko i niezbyt miło, przeważnie mijając się w drzwiach.

– Nie wiedziałam...

– Bo wy wszystkie już tak na mnie patrzycie... macie brata potworka, trudno, byleby trzymał się od was z daleka. Jest okej, póki niczego od was nie chce i siedzi cicho. Wydaje ci się, że nie widzę, jak odsuwacie się ode mnie, kiedy idziemy ulicą? Nie zauważyłaś, że podczas zakupów, a nawet ostatnio na cmentarzu, zawsze wlokę się parę kroków za wami? Może sądzicie, że to dlatego, że ciężko mi się poruszać? Pewnie, że sam jestem sobie winien, bo dotąd jej ulegałem. Ale już tego nie chcę! Rozumiesz? Nie chcę! I zmienię to, czy jej się to podoba, czy nie! Albo zmienię, albo zrobię to, o czym jej wtedy powiedziałem! I niech mnie matka nie straszy psychiatrami i tym, że gdy wróci ojciec, to wstawi kraty w oknach... bo ja już jestem sam, uwięziony w tym ohydny sadle! Ona nic, tylko przychodzi i płacze nade mną, chce, żebym ciągle na nich skarżył i zaczynał wszystko od nowa, a mnie... mnie często jej słowa bolą bardziej niż ślady po pobiciu!

– Naprawdę nie wiedziałam. Przypuszczałam...

– Że co? Że fajnie jest być grubasem?

– Nie. – Irma przygląda mi się ze współczuciem. – Ale nie miałam pojęcia, że ty...

– Co?

– ...tak o sobie myślisz!

– Jak?

– No, tak jak mówisz. Mama zawsze twierdzi, że jesteś, jaki jesteś i dobrze, że siebie takiego akceptujesz. Sądziłam...

– Więc teraz wiesz, że tak nie jest! I idź już, bo spóźnisz się do pracy! – Mam dość rozmowy, więc odwracam się do Irmy plecami. Do niej i do tych pachnących kanapek z szynką. Dziwnie się czuję. Chyba jest mi trochę lżej po zwierzeniach, choć wiem, że Irma już nigdy nie będzie mi tak bliska jak w czasach, kiedy czytała mi bajki. – I przekaz matce, że pójde do budy, kiedy schudnę i przestanę się ich bać! Przez te wrzaski nie zdążyłem jej o tym powiedzieć!

Irma nie przekonała matki do moich racji, za to po kilku cichych dniach zaczął do mnie zaglądać ojciec. Słyszałem, kiedy wrócił, ponieważ od razu po jego przyjeździe w pokoju rodziców odbyła się narada. Burzliwa, bo z udziałem czterech sióstr.

Byłem pewny, że ojciec nie przychodził do mnie z własnej woli, lecz wyłącznie z polecenia matki. Wygląda to zawsze tak samo: dwa, trzy razy puka delikatnie w szybę i wsuwa się do pokoju zatroskany, z tym swoim rozbieganym, szukającym wciąż nowego oparcia wzrokiem. Czasem specjalnie nie otwierałem oczu i przez rzęsy widziałem, jak wycofywał się z ulgą na twarzy. Gdy już wchodził, to na krótko, głównie po to, żeby zapytać o zdrowie i czy czegoś nie potrzebuję. Jego spojrzenie przeskakiwało z książek na biurko, z biurka na parapet, z parapetu na dywan, z dywanu na ścianę, ale przy każdym skoku na ułamek sekundy zahaczało o mnie.

Jednak dziś jest inaczej. Ojciec puka normalnie i wchodzi tak, że nawet gdybym chciał, pewnie nie zdążyłbym odłożyć książki i udawać, że śpię. Zaskoczony poprawiam się w pościeli i kładę na boku na tyle, na ile pozwalają mi potłuczone żebra.

– Siadaj, tato – zapraszam.

– Bardzo boli? – patrzy ze współczuciem i zajmuje miejsce w najbliższym fotelu.

– Nie... wcale. Pewnie już jutro wstanę.

– A to dobrze... To dobrze!

Zapada krępująca cisza. Wzrok ojca przeskakuje z firanki na komputer, wraca do mnie i znowu ucieka. Obserwuję go i zastanawiam się, czy unika spojrzenia na mnie wprost, bo mój widok jest dla niego trudny do zniesienia, sprawia mu przykrość, czy może nawet ból. Na matkę i dziewczyny patrzy normalnie. Albo na Zacha... o, przy nim bywa prawie swobodny!

Zaczynam żałować, że pozwoliłem mu się zaskoczyć i nie udawałem pogrążonego we śnie. Wszystko przez to, że wszedł tak inaczej... jakby podjął ważną decyzję i miał zamiar mi ją przekazać, a tu... nic z tego! Zaraz znowu zacznie mówić to, z czym przysłała go do mnie matka.

– Wiesz... Może jednak powinieneś... – głębokie westchnienie. – Przecież nie możesz tak...

– Jak?

– Matka naprawdę zarejestrowała cię do psychologa!

Ostrzeżenie z trudem przeszło mu przez gardło, ale jednak przeszło. Jak na ojca nieźle. Nawet szybko to wydukał.

– A nie do psychiatry? – pytam cicho.

– Zapisła cię na środę...

– Nigdzie nie pójde, tato. Nie zmusi mnie, bym się ubrał, a ty... ty chyba nie powleciesz mnie siłą do windy?

Zmartwiony kiwa głową tak, że nie wiem, czy mnie popiera, czy przyjmuje do wiadomości moje słowa, by je zaraz powtórzyć matce.

– Nastraszyłeś ją tymi... groźbami! – znowu wzdycha i patrzy na mnie uważnie, ale długo nie wytrzymuje i kieruje wzrok na drzwi. Choć tak nie jest, wygląda, jakby obawiał się, że stoi za nimi matka i pilnuje go, czy należycie wywiązuje się z powierzonej mu misji. – Może... może mógłbyś to wszystko jakoś załagodzić? Przeprosić mamę?

Milczę. Zastanawiam się, czy ojciec zawsze był taki. Na zdjęciach ze ślubu i wczesnej młodości wyglądał na szczęśliwego, ale potem... potem gdzieś zniknął albo siedział daleko w tle, a pierwszy plan zajmowała dużo młodsza żona z coraz większą gromadką dzieci.

– Wiem, że ciężko ci będzie wrócić do tej szkoły, ale... może jednak warto? Ten twój kolega, Zach, to taki porządny chłopiec. W zeszłym tygodniu tu był i pytał o ciebie, ale matka okłamała go, że masz świnkę.

– Wiem. Dzwoni i pisze do mnie esemesy, ale na razie nikogo nie chcę widzieć, tato. Nawet Zacha.

– Do czego to doprowadzi, Jacek? No... sam pomyśl!

– Podzwoni, podzwoni i przestanie. Tak postanowiłem, bo tak jest łatwiej.

– No nie wiem... – Ojciec przygląda mi się z wahaniem. – A zdajesz sobie sprawę, że twój upór, a teraz jeszcze kłamstwo matki zupełnie przekreślają szansę na ukaranie sprawców? Tego chcesz?

– Tak. Na razie tak będzie łatwiej – powtarzam twardo.

– Łatwiej z czym?

– Ze wszystkim.

– A szkoła? Jak to sobie wyobrażasz? – Wzrok ojca nie skacze już po meblach, ale skupia się wyłącznie na mnie.

– Tego jeszcze nie jestem pewny, ale o tym myślę!

– Wydobrzejesz i co? Będziesz siedzieć w domu? Naprawdę chcesz zmarnować cały rok?

– To tylko rok, tato.

– A co potem? Znowu inna szkoła? Irma tłumaczy matce, o co ci chodzi, ale nie tylko jej trudno to zrozumieć. Żeby się zmienić, wcale nie musisz zamykać się w domu, a nawet wręcz przeciwnie... – przez moment wygląda na zakłopotanego. – Będzie ci potrzebny intensywniejszy ruch!

– Wiem, tato. Zacznę jeździć na rowerze... jeśli mi Natalia pożyczy!... pływać, ćwiczyć... aż schudnę i nabiorę sił!

– No, a ta głódówka? Mówisz, że czujesz się lepiej, a dalej niczego nie jesz! Robisz matce na złość?

– Jem, ale według niej zjedzenie jednego czy dwóch ziemniaków się nie liczy.

– Wiesz, jak ją to martwi!

– Za dzień czy dwa wstanę i sam zacznę sobie przygotowywać posiłki... przynajmniej śniadania i kolacje. Irma mi pomoże, bo to musi być coś bardzo lekkiego.

– Dobrze. Jest coś jeszcze, o czym koniecznie muszę z tobą pomówić... te twoje groźby!

Ojciec patrzy mi prosto w oczy. A więc to tak... stąd to jego dzisiejsze zdecydowanie i pewne wejście do pokoju.

– Tato, wiem, że to było...

– Jacek! Rzeczywiście pomyślałeś o tym, żeby to... zrobić?

Wstydę się, bo łagodne spojrzenie ojca jest teraz ciemne z niepokoju... przygląda mi się tak bacznie, że aż wstrzymuje oddech.

– Chcę znać prawdę! Pomyślałeś?

– Tak... – przyznaję się cicho. Czuję się strasznie głupio, że muszę mu to tłumaczyć. – Raz miałem doła i przyszło mi coś takiego do głowy, ale potem zajrzała do mnie Malwina, trochę pogadaliśmy i... przeszło. Niepotrzebnie wyrwało mi się to potem w czasie kłótni z maaa...tką.

Ojciec oddycha z ulgą i wyciąga rękę, chyba po raz pierwszy w życiu klepie mnie po kolanie.

– Obiecuj mi, że już nigdy o tym nie pomyślisz! Obiecuj!

– Dobrze – bąkam zmieszany.

– Obiecuj! – nalega stanowczo.

– Obiecuję...

– Uwierz mi, że każdy problem można rozwiązać inaczej. Lepiej stracić rok, a nawet dwa lata, chorując czy nie chodząc do szkoły, ale żyć! Rozumiesz? W życiu młodych dużo się zmienia... za jakiś czas twoje obecne problemy staną się mało istotne. Wierzysz mi?

– Też o tym myślałem. Dorośli nie biją innych za wygląd i się nie przezywają. Wystarczy to przetrzymać albo postarać się jakoś zmienić.

– Pamiętaj, że mi obiecałeś! I już nigdy... dobrze?

– Tak. I... tato!

– Co takiego?

– Chodzi mi po głowie coś jeszcze! Co byś powiedział na to, żebym stąd na trochę wyjechał? Wiesz... tak na dobry początek. Do jakiegoś ośrodka dla otyłych. Widziałem takie ogłoszenia w necie. Są specjalne turnusy dla młodzieży z problemem nadwagi, czy jakoś tak... Chwalą się, że są bardzo skuteczni. I można tam się uczyć... tak samo jak w sanatorium!

Ojciec kiwa głową, a ja znowu nie wiem, czy podoba mu się mój pomysł, czy myśli o tym, jaką burzę wywoła, kiedy wspomni o nim matce.

– To znaczy, że nie upierasz się z tym niechodzeniem do szkoły?

– Różnie kombinuję, tato. Może ze dwa, trzy miesiące w takim ośrodku czy sanatorium, a potem...

– ...kolejna szkoła?

– Właśnie!

Ojciec pochyla głowę i się zastanawia. Zgarbiony wygląda bardzo staro, aż zaczynam się obawiać, że zrzuca na niego zbyt wielki ciężar. Może powinienem się przełamać i sam pomówić o tym z matką?

– Kiedy ty tak dorosłeś, synku? – pyta cicho. – Poważnie gotów byłbyś stąd wyjechać?

– Bo tu, w domu... to sam wiesz... – dukam szeptem, ponieważ nagle zaczyna mi się rwać głos.

Po dwóch tygodniach leżenia w łóżku od nikogo nie spodziewałem się już usłyszeć dobrego słowa, a tu raptem on... i to zrozumienie w jego oczach!

– Nie ma pośpiechu. Na razie spokojnie odpoczywaj, a za parę dni wspólnie coś postanowimy. Ale nie sądzę, żeby twój wyjazd z domu był konieczny. Ja tego nie chcę!

– Pomyślałem, że tak będzie najłatwiej, bo tym razem naprawdę się uparła, że mam tam wrócić! – przypominam mu.

– Porozmawiam z matką i na pewno jej to wytłumaczę...

Naszą rozmowę przerywa bezpardonowy, głośny trzask drzwi. Do pokoju wsuwa się Irma z tacą.

– Ale ciemno! A co wy tu tak?...

Stawia tacę na stoliku i sięga do lampy, oślepiając nas jaskrawym światłem. Obaj z ojcem patrzymy na moją kolację – kopiasty talerz klusek ziemniaczanych ze skwarkami. Tym razem nie denerwuję się na widok jedzenia. Po rozmowie z ojcem jest mi dziwnie lekko na duszy, jakby w ciągu tego kwadransa naprawdę zdjął ze mnie wielki ciężar.

– Sam widzisz... mama się nie poddaje! – Irma bezradnie wzrusza ramionami. – Chciałam ci przynieść twarożek, ale się rozzłościła, a ja nie mam dziś siły na kłótnię. Za to

kiedy się odwróciła, połałam tłuszczem tylko pół porcji, więc podziób coś z tej strony, Dżej, bo nigdy nie zwleciesz się z tego wyrka! Za każdym razem, gdy tu wchodzę, słyszę, jak ci kiszki marsza grają!

Moja buda mieści się przy końcu szerokiej, asfaltowej drogi, przecinającej centrum wioski na pół. Na jej przeciwległym krańcu, za rynkiem, znajduje się nieduże osiedle z kilkoma nowymi blokami. Ciotka mieszka w ostatnim, skrajnym budynku, za którym są już tylko pola, pastwiska i lasy.

Szkoła wcale nie jest taka mała, jak się spodziewałem. Właściwie jest to zespół szkół, w którego skład wchodzi podstawówka i gimnazjum. Jest to szary, nijaki budynek z końca lat siedemdziesiątych, ciotka twierdzi, że dwudziestoosmioklasowy, z dwiema salami gimnastycznymi – starą, małą, i nową, dobudowaną do niego kilka lat temu z wygodnym, nowoczesnym zapleczem. Przed gmachem jest niewielki parking z kilkoma stojakami na rowery, a za nim solidne, dość zadbane boisko, o tej porze niezbyt zachęcające do gier czy biegów, bo lekko podmokłe i po obu krótszych bokach zawalone stertami zbutwiałych, dawno opadłych liści. Dookoła boiska rosną szpalery wysokich drzew, pod którymi stoją rzędy drewnianych, pociemniałych od deszczu ławek.

W niedzielę po obiedzie, przed wyjazdem ojca do domu, ciotka zaproponowała, byśmy pojechali obejrzeć jej szkołę. Pewnie chciała ją ojcu pokazać, żeby go zupełnie uspokoić.

Fajnie było tak wejść do budynku o zmroku i pochodzić po pustych, dudniących od kroków korytarzach. Ojciec z ciotką wędrowali od pracowni do pracowni, zapalając wszędzie światła i cicho rozmawiając, a ja snułem się za nimi, wyobrażając sobie swój jutrzejszy dzień.

– Tu jest twoja klasa. – Ciotka wpuściła mnie do sporej, widnej sali na pierwszym piętrze o ścianach obwieszonych tablicami z gramatyką angielską. – Twoim wychowawcą będzie nasz najlepszy nauczyciel, pan Jerzy Galiński. To nie jest tylko moje zdanie, ale i wybór uczniów. Pan Galiński uczy angielskiego i trzyma klasę w ryzach, ale młodzież i tak za nim przepada. I ty go polubisz. Jeżeli będziesz miał jakiś problem, mój gabinet jest tam, po lewej... tylko troje drzwi dalej. Zawsze możesz tam przyjść, nawet bez wyraźnego powodu... ot, żeby posiedzieć podczas przerwy, odpocząć czy wypić herbatę. Wchodź o każdej porze, nawet kiedy mnie tam nie będzie, bo ja często muszę zaglądać do pokoju nauczycielskiego...

dobrze? Sądę, że w pierwszych dniach kilka razy do mnie wpadniesz, a potem już nie będziesz miał takiej potrzeby – ciotka spojrzała pogodnie na ojca.

Jej gabinet jest skromny, bo oprócz biurka i kilku szafek stoi tam jeszcze tylko stół i dwa fotele. Za to okna i ściany toną w kwiatkach.

– Ta zieleń to zasługa pani Heni... naszej sekretarki – jakoś kwaśno wyjaśniła ciotka. – Ja nie mam ręki do kwiatów.

Potem obejrzelismy dwie sale gimnastyczne. Ojciec i ciotka zachwycali się nową, ale mnie spodobała się stara, dużo mniejsza. Z lekkim niepokojem patrzyłem na stopy nieruchomych piłek i materaców, na drabinki i kozły.

– Wiem, że przez kilka lat wcale nie ćwiczyłeś, ale teraz podobno chcesz zacząć? – spytała ciotka.

– Mhm – potwierdziłem niewyraźnie.

– Nie martw się. Wuefu uczy pan Jakub Kawalec. To fachowiec, kiedyś był zawodowym sportowcem. Teraz wyjechał na tydzień, ale w piątek rozmawiałam z nim, więc zna twój problem i obiecał, że ci pomoże. Na początku zwolni cię z forsownych ćwiczeń. Zacznie cię do nich włączać bardzo ostrożnie i powoli, w miarę jak będą rosły twoje umiejętności. Najważniejsze, żeby podejść do tego rozsądnie i nie przesadzić... a potem będzie już tylko lepiej.

Uspokojony kiwnąłem głową i optymistycznie zerknąłem na ojca.

– W twojej grupie wiekowej jest kilkunastu chłopców z wyraźnym problemem nadwagi – kontynuowała ciotka – ale tylko dwóch z nich ćwiczy. Nie mają problemów, nikt ich nie wyśmiewa. Pozostali ciągle przynoszą zwolnienia lekarskie... między nami mówiąc, niektóre zupełnie nieuzasadnione.

– To tak jak ja do tej pory – przyznałem się szczerze.

Ojciec poklepał mnie uspokajająco po ramieniu. Wiedziałem, że chciał mi dodać otuchy przed czekającym nas rozstaniem.

– Na szczęście w porę dostrzegłeś swój błąd... a właściwie nieodpowiednie postępowanie twojej mamy – zauważyła ciotka. – Niestety, nadopiekuńczość to coraz częstsza cecha pewnej grupy rodziców. Cieszę się, że do mnie przyjechałeś i mam nadzieję, że potrafię ci pomóc. Tylko musimy być wobec siebie bezwzględnie szczerzy... dobrze?

Ojciec popatrzył na nią z wdzięcznością, a ja znowu przytaknąłem jej w milczeniu. Nieśmiało zbliżyłem się do drabinek.

– Rozejrzyj się tu, jeśli chcesz, ja w tym czasie pokażę twojemu ojcu jeszcze dwie pracownie i pokój nauczycielski. Łatwo trafisz z powrotem, bo usłyszysz nasze głosy... tylko wychodząc, pogaś światła!

Kiedy zniknęli, wszedłem tyłem trzy szczeble wyżej i wyciągnąłem prawe ramię do góry. Chwyciłem się drążka nad głową i to samo zrobiłem drugą ręką. Trochę zbyt gwałtownie opuściłem nogi. Po raz pierwszy od bardzo dawna wisiałem na drabince! Zawsze chciałem to uczynić, ale rzadko kiedy miałem okazję. Na salach gimnastycznych wstydziłem się, a na placach zabaw trzepak i drążki były najęściej oblegane przez chłopaków.

Wykonałem kilka ostrożnych wymachów nogami w prawo i w lewo i zgiąłem kolana, próbując unieść je do brody. Do twarzy było im jeszcze bardzo daleko. Z lekceważeniem przypominałem sobie wszystkie prośby i ostrzeżenia matki na temat moich potłuczonych żeber i zrobiłem jeszcze kilka śmiałych ruchów nogami. Potem zsunąłem się na podłogę i z radością rozejrzałem się po sali. Naprawdę wszystko mi się w niej podobało. To, że była taka mała i przytulna, słabo oświetlona i miała aż tyle zakamarków. Że wysoko, prawie pod sufitem, były okratowane okna, przez które na pewno nikt tutaj nie zaglądał. Że od zgromadzonego sprzętu: kozłów, materaców i piłek utrzymywał się w niej taki specyficzny, intensywny zapach... skóry? Gумы? Potu?

– Wróć tu. Niedługo tu wróć! – postanowiłem sobie i ociągając się, powoli podszedłem do drzwi. Rzuciłem jeszcze ostatnie spojrzenie na salę i z żalem zgasiałem światło.

Podczas pożegnania ojciec patrzy na mnie uważnie i pyta, czy na pewno mi się tu podoba.

– Naprawdę jest bardzo fajnie – powtarzam już któryś raz.

– No, a Emilia? Myślisz, że się z nią dogadasz? – upewnia się, korzystając z okazji, że jego siostra zostawiła nas przy samochodzie i pobiegła jeszcze do sąsiadki po jajka.

Przez ostatnią godzinę ciotka Mila wrzuca mu do bagażnika jakieś zawiniątka i paczki, przeciwko czemu ojciec, pewnie znając jej usposobienie, wcale nie protestuje.

– Tak. Jest w porządku – mówię szczerze. Sam nie wiem, co jeszcze mogę mu powiedzieć, żeby go uspokoić. – Jest bardzo bezpośrednia.

– Może... przejdźmy się kawałek? – proponuje i zdecydowanie rusza przed siebie.

Mijamy podjazd dla wózka dobudowany do jednego z balkonów i wąską ścieżką przechodzimy przez rzadki, łysy zagajnik otulający dom z prawej strony. Powoli idziemy w stronę niewyraźnych, ciemniejących pól.

– Szczerze mówiąc, ta jej cecha kiedyś najbardziej denerwowała twoją matkę – odzywa się i ciężko wzdycha. – A tobie na pewno nie przeszkadza?

Widzę, że teraz, kiedy już mnie tutaj przywiózł i za chwilę ma zostawić, dopadły go jakieś wątpliwości. Pewnie najchętniej spakowałby mnie i zabrał z powrotem do domu.

– Wcale, tato. Przecież wiesz, że zawsze byłem za szczerością...

– Emilia trochę się zmieniła – zauważa delikatnie. – Kiedyś była naprawdę bardzo szorstka i mało kto mógł z nią wytrzymać.

– Teraz nie jest. To chyba dobrze, że ludzie się zmieniają?

– Dobrze – zgadza się i znowu oddycha głęboko, jakby tu, na wsi, mogło brakować mu powietrza.

– Kiedy widziałeś ją ostatni raz? – pytam ostrożnie.

– Cztery miesiące temu. Dwa, trzy razy w roku staramy się gdzieś spotkać... najlepiej w połowie drogi. No i dzwoniemy do siebie.

– Tajemniczy z ciebie gość – mówię zaskoczony. – Pewnie robiłeś to w czasie delegacji? A mama?

– Teraz o tym wie.

Przez chwilę stoimy w milczeniu. Z dala od oświetlonego podwórka i jasnych okien jest już zupełnie ciemno. Patrzę na niespokojne, szybko zmieniające się niebo, na nieustanny ruch chmur. Zastanawiam się, jak byłoby między nami, gdyby w ciągu tego pechowego miesiąca nie wydarzyło się tyle złego... gdyby mnie nie pobili i gdybym się nie zbuntował, nie napyskował mamie. Pewnie dalej mijalibyśmy się w przedpokoju bez słowa.

– Czas wracać – odzywa się cicho.

– Tato... jest dobrze. Ciocia jest bardzo życzliwa, przecież sam to widzisz! I przygotowała mi taki fajny pokój... nawet zamówiła już internet! Twierdzi, że chciała wcześniej, ale dotąd wystarczał jej szkolny, więc zrobiła to specjalnie dla mnie! A widziałeś nową wagę w łazience? W kuchni za koszem był jeszcze karton, w którym ją kupiła! Postarała się, a miała na to tylko trzy dni!

– Hmm... to prawda – szepcze wzruszony ojciec. – Bardzo się cieszy, że cię tutaj przywiozłem.

– Więc już się nie martw, dobrze? Poradzę sobie!

– Na pewno? – Przez otaczający nas mrok ojciec próbuje zajrzeć mi w oczy.

– Na sto procent. To był świetny pomysł, będzie mi tu o wiele lepiej niż w jakimś głupim ośrodku czy sanatorium. Szkoła też jest w porządku... obaj to dzisiaj sprawdziliśmy. Przy ciotce będę się tam czuł jak wicedyrektor – żartuję.

Chyba udaje mi się rozproszyc jego czarne myśli, bo słyszę, że znowu głęboko oddycha, ale tym razem z ulgą.

– Wiesz... do tamtej szkoły na pewno już bym nie wrócił! – Korzystam z ciemności i zdradzam mu najgorsze, to, o czym chciałem mu powiedzieć już podczas naszej pierwszej rozmowy. – Oni... oni mówili mi wtedy straszne rzeczy. Grozili, że następnym razem każą mi się rozebrać i... i że nakręcą film!

Może ojciec tylko czekał na pretekst, żeby mnie przytulić, bo natychmiast mnie obejmuje i długo, bardzo długo trzyma w ramionach.

– Wiedziałem, że to musiało być coś okropnego! Inaczej nigdy nie powiedziałbyś matce tego, co wtedy...

– Ale teraz już wszystko jest okej, więc wcale się o mnie nie martw, dobrze? – proszę, starając się zapanować nad łzami, które nagle zalewają mi oczy.

– Dobrze – obiecuje wzruszony. – Ale pamiętaj... jakby i tutaj zaczęło się dziać coś złego, wiedz, że nie jesteś sam! Dzwoń do mnie o każdej porze dnia i nocy! No i zaufaj ciotce!

– Na pewno jej zaufam. A ty, tato, idź do lekarza, bo ostatnio tak ciężko oddychasz i z trudem łapiesz oddech! Sam tego nie zauważyłeś?

– Jakoś nie... – szepcze zażenowany.

– Zrobisz to? – nalegam.

– Tak.

– Może to jakaś głupia astma i tylko potrzebujesz leków... teraz prawie każdy to ma!

Ojciec uwalnia mnie z ramion i czuję, że się wreszcie uśmiecha.

– To mówisz, że podoba ci się szkoła Emilii? – Szybko wraca na bezpieczny grunt.

– Bardzo. A tobie nie? – Staję bokiem do niego i rękawem kurtki wycieram oczy.

– Mnie też – przyznaje. – Ale nie zdawałem sobie sprawy z tego, że w związku z nią ona jest aż tak zajęta. Myślałem, że gminna szkoła to nic wielkiego, ale dzisiaj...

– ...zrobiła na tobie wrażenie, co?

– Właśnie. Dopiero teraz widzę, że zwałem na nią nasz problem, a ona nie będzie miała za dużo czasu dla ciebie.

– I o to chodzi, tato! Nikt nie musi mnie tutaj niańczyć! – wołam z zapalem. – Przede wszystkim chcę się usamodzielnic, nauczyć dbać o siebie... przyrządzać sobie zdrowe

śniadania i kolacje, prać skarpety, no i... walczyć o własne ja, a jeśli będzie trzeba, to nawet się bić! Dopiero potem schudnąć...

– Bić się? – śmieje się ojciec.

– No, może trochę przesadziłem... raczej nigdy więcej nie okazywać strachu! I bardzo cieszę się z tego, co ciotka powiedziała nam dzisiaj przy obiedzie...

– Że nienawidzi gotować?

– To też, ale i że ze słodczy to u niej w domu są tylko dżem i miód. I że tępi chipsy, więc ich nie ma w szkolnym sklepiku.

– No, ale mówiła też, że dzieciaki jakoś sobie z tym radzą, bo biegają do kiosku naprzeciwko – uśmiecha się ojciec.

– Ja na pewno nigdzie nie będę biegał! I wiesz co, tato? Lepiej nie mów mamie o tym, że ciotka nie umie gotować.

– Nie powiem, chociaż ona na pewno o tym pamięta, bo Emilia nieraz skompromitowała się przy niej w kuchni.

Dochodzimy do zagajnika, kiedy po drugiej stronie domu rozlega się wołanie ciotki.

– Domyślasz się, że zostawiam cię tutaj z ciężkim sercem? – Ojciec poważnieje i jeszcze na chwilę przystaje.

– Wiem, tato. I naprawdę nie truj się już tym... będzie mi tu fantastycznie.

– Będę dzwonił...

– Ja też. I czasem skrobniemy do siebie maila, dobrze?

– Mam nadzieję, że szybko nadrobimy ten czas! – Gorliwie kiwa głową. – I że wreszcie dobrze się poznamy...

– Ja też bardzo tego chcę, tato!

Jakoś naturalnie jeszcze raz na krótko się do siebie przytulamy. Ojciec patrzy mi w oczy i waha się, jakby chciał mi coś powiedzieć.

– Jacek... muszę cię o coś spytać, ale nie wiem...

– To pytaj – ponaglę go zdziwiony.

– Nie uważasz, że oni... że ci, którzy cię pobili, nie powinni pozostawać bezkarni? Gdybyś mi o nich opowiedział, może bym ich odnalazł i z nimi porozmawiał? Sam, bez powiadamiania szkoły, bo wiem, że bardzo tego nie chcesz. Ale ktoś powinien im uświadomić, że tak nie wolno... że nie mogą bezkarnie deptać cudzej godności!

Przyglądam się ojcu z niedowierzaniem. Przypominam sobie tamtych chłopaków... Wcześniej widziałem, jak dwaj z nich zaczepili na przystanku mężczyznę, pewnie niewiele starszego od ojca. Zerwali mu z głowy kapelusz i ze śmiechem rzucali do siebie, w końcu

jeden podskoczył i położył go na dachu przystanku. Nikt z czekających na autobus nie zareagował, a niektórzy, młodszy, nawet się uśmiechali. Ja też schowałem się za tablicę z rozkładem jazdy.

– Nie, tato. Przez pierwszy tydzień byłem na nich wściekły, wymyślałem różne sposoby, żeby się na nich zemścić... jak to ich kiedyś załatwię! Ale teraz... nawet nie chcę ich pamiętać! Przeżyłem to i muszę o nich zapomnieć... mam ważniejsze sprawy na głowie.

– Tego się spodziewałem – Ojciec bezsilnie wzrusza ramionami.

– I jednego jestem pewien na sto procent. Nie chcę, żebyś się do nich zbliżał... dobrze? Naprawdę nie warto się z nimi zadawać!

– Jasne...

– Jeżeli już koniecznie chcesz... – zaczynam niepewnie.

– To co? – Zawisa wzrokiem na mojej twarzy.

– To raczej weź się za Natalię... spróbuj do niej jakoś dotrzeć. Niekiedy wydaje się, że jest bardzo zła i samolubna, a przecież nie może taka być! Poobserwuj ją i... czy ja wiem? Czasem z nią porozmawiaj... za coś pochwal?

Ojciec jest wyraźnie zaskoczony moją prośbą.

– Dobrze... – duka. – Tylko jej mam się tak... przyjrzeć?

– Tak. Z pozostałymi jest okej.

– Dobrze – powtarza.

Cześć, Malwina. Tak jakoś zachciało mi się dzisiaj do Ciebie napisać. (...) Znowu pytasz, co u mnie, a ja tym razem mam ochotę szczerze Ci się powierzać. Wiem, że nigdy nie wykorzystasz tego przeciwko mnie i że mnie nie wyśmiesz. Nie uwierzysz, ale – słuchaj! słuchaj! – od początku listopada, to jest od pobicia, schudłem aż osiem kilogramów! Tylko na wszelki wypadek nie mów o tym mamie, okej? Sama dobrze wiesz, jak z nią jest. (...)

Ale wracając do tego, że aż tyle schudłem, to naprawdę nie wiem, jak to się stało. Fakt, że w domu autentycznie się głodziłem i nie jadłem, żeby jej zrobić na złość, bo się w końcu zbuntowałem, ale tutaj już się nie wygłupiam i jem normalnie, to znaczy tak samo jak ciotka: skromne śniadanie, jakiś naprędce zrobiony przez nią obiad i ze dwie skibki chleba na kolację (z twarogiem albo dżemem, bez masła!). Co drugi dzień staram się nie jeść kolacji i nawet mi się to udaje! I wiesz, Mal, dlaczego tutaj czuję się wspaniale? Bo już nie ciągnie mnie do słodyczy i chipsów. Chyba zupełnie się od nich wyzwoliłem i sam na pewno ich nie kupię,

a u cioci też niczego podobnego nie uświadczysz, bo u niej ze słodyczy to jest tylko dżem i miód, a chipsy to według niej „ohydna, czysta chemia”. Tutaj w szafkach i w lodówce są tylko „zdrowe” i „proste” rzeczy, „jak najmniej przetworzone” (cytuję słowa cioci!), za którymi nigdy dotąd nie przepadałem. Pewnie i ty to znasz... zaglądasz do lodówki i niby coś tam jest, ale wydaje się, że tak naprawdę to niczego dobrego w niej nie ma, bo tylko jajka, jakieś sery i twarogi, mleko, miód, kiszzone ogórki, kapusta i dżemy własnej roboty. Tutaj jest tak zawsze i już się do tego przyzwyczailem, że razem z ciotką jadam te „jak najmniej przetworzone” rzeczy. Dzięki niej poznałem prawdziwy smak chleba. Serio! Kiedy naprawdę głodny i zmęczony (a prawie non stop taki jestem, bo dopóki nie było śniegu, to jeździłem na rowerze, a teraz codziennie ćwiczę) siadam do stołu, to każdy kęs tego lekko kwaśnawego chleba jakoś wyjątkowo mi smakuje. Na pieczywo i mięso ciocia zwraca szczególną uwagę. Chleb zawsze jest ciemny, pełnoziarnisty, a wędliny od lat kupuje u sąsiada, który niedaleko ma zakład mięsny. Kiedy ciocia je przynosi, to są naprawdę pyszne, często jeszcze ciepłe i pachnące wędzeniem. Ona dziwi się, jak ludzie mogą jeść te ohydne „zafoliowane szynki”, śliskie i „pozbawione smaku mięsa”, z nienaturalnie długimi terminami ważności.

O ciotce trochę Ci już pisałem i sporo mówiłem przez telefon. Teraz, w miarę jak ją coraz lepiej poznaję, widzę, że ma własną, może i trochę dziwną, filozofię życiową. Ale najważniejszą cechą jej charakteru jest to, że nie lubi fałszu. Ma ogromne poczucie humoru, ale najczęściej to kpi z siebie samej, a ostatnio też trochę ze mnie. Jak ją najdzie, to oboje mamy niezły ubaw. Teraz to już prawie o wszystkim ze mną rozmawia, a że jest bardzo szczerą i wie, że chcę schudnąć, zaczęliśmy mówić i o tym. Prawie od razu walnęła mi śmieszny wykład na temat ewolucji... chyba swoją własną teorię?, że nienadaremnie w ciągu tylu wieków człowiekowi wykształcił się mały otwór gębowy jak na zwykłą ludzką posturę, bo tylko wąskie i bardzo delikatne usta. Inne drapieżniki (tak! tak!) natura wyposażyła hojniej... w pyski, a nawet w paszcze. Z tego wniosek, że ludzie nie powinni zjeść byle czego, ale muszą posilać się z umiarem i rozważnie – to ciotki teoria w wielkim skrócie.

Mówię ci, Mal, nie wiem, jaki był prawdziwy cel tego jej „wykładu”, ale teraz jem zupełnie inaczej! Słowa ciotki tak wbiły mi się w pamięć, że kiedy tylko biorę coś do ust, od razu je sobie przypominam. Od tej pory chyba niczego już nie zjem pospiesznie, tak na łapucapu, byle jak! No, przynajmniej dopóki nie schudnę i moja „postura” nie stanie się odpowiednia do „otworu gębowego”, w jaki wyposażyła mnie natura. Tylko się nie martw, Mal, że takimi gadkami ciotka mnie obraża, bo wcale tak nie jest. Niektórzy mogą uważać jej szczere przycinki i żarty za zgryźliwość, ale to nieprawda. Żebyś słyszała, co ona mówi

o sobie! Oboje świetnie się przy tym bawimy, bo czasem nawet ja strzelę coś śmiesznego. Serio, nie wiedziałem, że mam takie poczucie humoru! Może to... rodzinne?

Na co dzień ciotka jest bardzo energiczna, a w pracy niestychanie wymagająca. W szkole prawie się nie uśmiecha, właściwie tylko do mnie i do jednego nauczyciela (mojego wychowawcy!), więc wszyscy inni się jej tam boją... Opowiadałem ci, jak mnie szkolili z tymi drzwiami, prawda? Na pewno nie powiedziałaś o tym mamie?

Rozpisałem się tutaj na temat jedzenia, jakby to było najważniejsze, a przecież teraz wcale tak nie jest. Bardzo się cieszę, że mogę to tak po prostu napisać. Tyle się tutaj dzieje, że często zapominam o tym, że jestem głodny, a potem i byle co bardzo mi smakuje. Napisałem to „byle co” z rozpędu i bez zastanowienia, ponieważ tutaj serio czegoś takiego nie ma.

Aha, co do tego „dziania się”, to w ten weekend wydarzyło się coś ważnego, ale sam nie wiem, czy Ci o tym pisać... Ciocia pojechała na konferencję (wiem, że mówiła o tym tacie przez telefon), a ja, mimo jej zakazu, wybrałem się rowerem w okolice mojej szosy. Piszę „mojej”, bo nikogo innego tam nie spotykam. To odcinek drogi od paru lat wyłączony z ruchu; z tego co widzę, tylko ja tam szaleję. No i stało się nieszczęście, bo kiedy wróciłem, okazało się, że gdzieś po drodze zgubiłem klucze do mieszkania. Pokręciłem się dookoła domu i jeszcze raz pojechałem w stronę szosy, ale o szukaniu ich nie mogło już być mowy, ponieważ było zbyt ciemno. Nie miałem innego wyjścia... skostniały z zimna, stojąc jak ostatnia sierota pod klatką schodową, zadzwoniłem do ciotki. Nie uwierzysz, ale wcale nie była na mnie zła (powiedziała tylko: „Co tam klucze, dzięki Bogu, że tobie nic się nie stało!”) i obiecała, że spróbuje jakoś temu zaradzić. No i po paru minutach rzeczywiście ktoś otworzył mi drzwi, a kiedy wtarabaniłem się już z rowerem do klatki, otworzyły się kolejne drzwi... naszych sąsiadów z naprzeciwka. Nie wiem, czy pamiętasz, ale od razu po przyjeździe tutaj wspominałem Ci o nich przez telefon. To pani Ewa, przyjaciółka ciotki, i jej niepełnosprawna córka. No więc to ta dziewczyna na wózku otworzyła drzwi i zaprosiła mnie do siebie. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że to prawdziwa dzikuska, która od trzech lat prawie nie wychyla nosa z domu. Chociaż w gimnazjum jest klasa integracyjna, ona wymusza na matce i ciotce nauczanie indywidualne, a teraz, po raz drugi czy trzeci, zupełnie przerwała rehabilitację. Wiem, że ciocia martwi się o Adriannę (tak ma na imię ta dziewczyna) nie tylko dlatego, że uczy ją matematyki, ale po prostu bardzo je obie lubi, matkę i córkę, i przykro jej patrzeć, ile zdrowia kosztuje jej przyjaciółkę bunt tej nastolatki.

Nie wiem, jakich słów użyła ciotka i jakich tłumaczeń, żeby ta uparciucha otworzyła mi drzwi i z uśmiechem zaprosiła do środka, a nawet zrobiła mi herbatę. Na początku było trochę sztywno, dlatego z nerwów dużo i głupio gadałem, ale potem już całkiem miło się z nią

gawędziło, układając puzzle i pijąc pyszną herbatę (malinową!). A później ona wspomniała coś o rynku w Lenkowie, że nawet nie pamięta, jak on wygląda, a ja, idiota, przypomniałem sobie, że jadąc w kierunku szosy, przystanęłam na chwilę na tym rynku przed tablicą ogłoszeń, żeby przeczytać świeżo zawieszoną informację o pewnym zaginionym chłopaku (to brat ucznia z mojej klasy). No więc zatrzymałam się i czytałam komunikat, a przy okazji rozpiąłem kieszeń i wyciągnąłem chustkę, by wytrzeć nos.

Zerwałam się na równe nogi, żeby lecieć pod tę tablicę i szukać kluczy, bo tylko tam mogły mi wypaść z kieszeni, a wtedy Adrianna zapytała – nie uwierzysz! – czy mogłaby pojechać ze mną i czy zechcę popchać jej wózek. Jasne, że chciałam. Musiałam tylko znaleźć dla niej zimowe ubranie i pomóc jej się w nie ubrać, ale warto było, bo to jej pierwsze wyjście na zewnątrz od wielu miesięcy. Uwierzysz w coś takiego? Może nastroił ją do tego spaceru późny wieczór i puste ulice? I pierwszy śnieg? A może to, że akurat byliśmy sami, bo jej mama i ciotka wyjechały?

Nie wiem, co spowodowało ten przełom, ale bardzo mnie on ucieszył i ją chyba też. Znaleźliśmy klucze dokładnie tam, gdzie się tego spodziewałam, to jest przed tablicą ogłoszeń urzędu gminy, chociaż śnieg przykrył już ślady roweru. Potem aż trzy razy objechaliśmy cały rynek Lenkowa wzdłuż i wszerz i obejrzeliliśmy wystawy wszystkich sklepów, niektóre już ładnie, świątecznie udekorowane.

Kiedy wróciliśmy do domu, Adrianna zaskoczyła mnie, bo poprosiła, żebym nikomu nie mówił o naszej nocnej wyprawie. I żebym dokładnie usunął ślady wózka z podjazdu do ich balkonu i odłożył zimowe ubranie do szafy tak, by jej mama niczego się nie domyśliła. Zrobiłam to, chociaż nie rozumiałam, o co jej chodzi. Nie musiałam zajmować się śladami na podjeździe, bo w czasie gdy chowałam jej kombinezon i wycierałam kałuże po kołach wózka na podłodze, już dawno zasypał je śnieg.

Dobra, Mal. Będę kończył. Wygląda na to, że bardzo chciałam komuś o tym opowiedzieć, a że nie mogłam zwierzyć się ciotce, padło na Ciebie. Wybacz, jeśli Cię zanudziłam. Teraz, kiedy Ci to wszystko opisałam, widzę, że to całe wydarzenie to właściwie nic wielkiego, a ja niepotrzebnie wpadłam w taką euforię. Tym bardziej, że Adrianna jednak się nie przełamala i dalej nie wyściubia nosa z domu, chociaż na dworze jest fantastycznie biało i niezbyt mroźnie.

O innych sprawach, moich ćwiczeniach (tak, tak! teraz, kiedy nie jeżdżę na rowerze, więcej ćwiczę!), nauczycielach i o klasie napiszę Ci później albo opowiem, gdy przyjadę do domu na święta. Ogólnie szkoła jest fajna, dzieciaki są tu naprawdę lepsze niż w mieście, spokojne, życzliwe i bardzo zajęte swoimi problemami, a po szkole każdy z nich spieszy się do

domu. Jasne, że niektórzy mówią o mnie „gruby” (nigdy wprost, prędzej za plecami), ale nie mam im tego za złe, bo przecież dobrze wiem, że jeszcze taki jestem (zauważ, Mal, to „jeszcze”!). Jak wszędzie, i tu jest dwóch czy trzech głupków, którzy w klasie mącą i się przezywają, ale jak dotąd trzymają się ode mnie z daleka. Widać działa na nich moja udawana pewność siebie albo magia ciotki-dyrektorki. I dobrze! :)

Mal, to mój pierwszy w życiu tak długi list. Jeszcze raz wybacz, że padło akurat na Ciebie. Wcześniej pisałem tylko krótkie maile do mamy i byłem pewny, że inaczej nie umiem. Pozdrów ode mnie dziewczyny i powiedz im, że u mnie wszystko jest w porządku.

Jacek albo Twój Dżej – jak wolisz.

PS. Mal, wstydzę się do tego przyznać, ale kiedy odkładałem kombinezon Adrianny do szafy, w jej pokoju na podłozie znalazłem zmiętą kartkę z wierszem. Szybko przeczytałem go i schowałem... do kieszeni! Myślisz, że można trafić do więzienia za kradzież wiersza?